

Remigiusz Okraska: Lewica wobec Gabriela Narutowicza – w stulecie śmierci prezydenta

Śmierć Narutowicza z ręki narodowca Niewiadomskiego była dla lewicy gorzką lekcją. Dobitym dowodem na to, że proces dziejowy może zostać powstrzymany, a nawet odwrócony. Lewica polska, szczególnie miejsko-robotnicza, żyła dotychczas w przekonaniu dość naiwnym, ale zarazem opartym na obserwacji biegu wydarzeń, a mówiącym o stałym postępie polityczno-demokratyczno-cywilizacyjnym – pisze Remigiusz Okraska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „1922. Oblicze polskiej stásis?”.

W setną rocznicę zabójstwa prezydenta RP Gabriela Narutowicza warto przypomnieć rolę lewicy w procesie ustanowienia go głową państwa. A przy okazji sprostować kilka mitów produkowanych przez ówczesnych i dzisiejszych adeptów nacjonalistycznej prawicy.

Ende-mit

Mit pierwszy, mniej znany i z biegiem czasu wyblakły, to portretowanie Narutowicza jako radykała, który czyhał na „polską tradycję”. I dlatego wybranego przez „siły antypolskie”.

W rzeczywistości Narutowicz był bliższy centrum niż jakimkolwiek lewicowemu czy postępowemu radykalizmowi. W młodości co prawda związał się z okolicami partii „Proletariat”, ale szybko porzucił taką identyfikację. Sam tamten wybór był zresztą powodowany tyleż młodzieńczym idealizmem, ile tendencją epoki. Wielu ówczesnych młodych Polaków ze środowisk inteligentnych wiązało się na chwilę z ruchem socjalistycznym, w nim upatrując nadziei w obliczu carskiej okupacji i zarazem zaniku walki zbrojnej z caratem, zastąpionej hasłami pozytywistycznymi, ugodowymi, pracy organicznej itp. Temperament młodzieży, powstańczo-romantyczne inspiracje (żywe szczególnie wśród młodych z rodzin szlacheckich, zdeklasowanych po powstaniu styczniowym), niechęć wobec świata „starych” – wszystko to pchało ich pod czerwony sztandar.

Wielu z nich mniej chodziło o socjalizm, a co dopiero w wersji „internacjonalistycznej”, a bardziej o bunt przeciwko okupacji i marazmowi. Aby zrozumieć to zjawisko i nie mitologizować niepotrzebnie, dość wspomnieć losy np. Stanisława Grabskiego. W młodości działacza socjalistycznego, jednego z liderów Związku Robotników Polskich (organizacji socjalistycznej, która ignorowała postulaty niepodległościowe), później jednego z założycieli Polskiej Partii Socjalistycznej, a dopiero po kilkunastu latach bycia „czerwonym” – polityka endecji. Jego brat Władysław Grabski, późniejszy premier i znany polityk prawicowy, również zaczynał w nielegalnych „kółkach” socjalistycznych. Takich biografii było znacznie więcej.

Wybuch I wojny światowej sprawił, że Narutowicz po długich latach przerwy poważniej zaangażował się społecznie, organizując pomoc dla kraju niszczonego wojną

Gabriel Narutowicz szybko porzucił takie postawy i zainteresowania. Już jako student w Szwajcarii zaniechał aktywności politycznej i poważniejszych zaangażowań

ideowych. Skupił się na pracy zawodowej, jako utalentowany inżynier, odpowiedzialny za szereg dużych i nowatorskich projektów inwestycyjnych w krajach Europy Zachodniej. Wybuch I wojny światowej sprawił, że Narutowicz po długich latach przerwy poważniej zaangażował się społecznie, organizując pomoc dla kraju niszczonego wojną. Sympatyzował z wizją Piłsudskiego, jak wielu rodaków, ale daleki był od ortodoksyjnej „piłsudczyzny”.

W roku 1919 powrócił do Polski przede wszystkim jako wysokiej klasy inżynier, oczekiwany z nadziejami w roli kogoś, kto odbuduje lub od zera stworzy w niepodległej ważne projekty infrastrukturalne i rozwojowe. Jak wspominał PPS-owiec Adam Pragier, „Był w pełni człowiekiem Zachodu [...] i konserwatystą, w tym sensie jak to w dobrych czasach rozumiano na Zachodzie. Poza tym miał zdolność samodzielnego myślenia i godność osobistą. Te wszystkie cechy nie predestynowały go na czyjekolwiek narzędzie i nie czyniły od kogokolwiek zależnym. Pozwalały wszakże na przedstawienie go kuchtom i kruchtom jako zamorskiego diabła i mędrca Syjonu”.

Został ministrem robót publicznych w czterech kolejnych gabinetach rządowych. Poczynając od „koncyliacyjnego”, ale z wyraźnym rysem pravicowym pierwszego rządu Władysława Grabskiego, przez rząd Wincentego Witosa powołany ponad podziałami w obliczu najazdu bolszewickiego, a kończąc w dwóch rządach bezpartyjno-technokratycznych Antoniego Ponikowskiego, w których łatwiej było znaleźć ludzi centroprawicy niż kogokolwiek lewicowego. Następnie był ministrem spraw zagranicznych w rządzie nieendeckiego pravicowca Juliana Nowaka. Nic nie wskazywało na radykalne, wyraziście postępowe czy tym bardziej lewicowe poglądy i postawy Narutowicza. Stanisław Posner, zasłużony działacz PPS, pisał już po śmierci Narutowicza: „Był zacnym synem tego kraju, który lata długie pracował poza krajem, jak tylu innych Polaków, nie mogących żyć w warunkach więziennych pod zaborem carów rosyjskich, który imię polskie szeroko po świecie rozszławił, który zachował w domu szwajcarskim, co mu tylko był wędrownym szłaśsem, polski obyczaj. W polskim duchu dzieci wychował i na pierwsze wołanie Władysława Grabskiego do kraju wrócił, aby mu służyć na każdym kroku”.

„Kto go wybrał?” Centroprawica

Mit drugi, wówczas i do dzisiaj popularny, mówi, jakoby pierwszy prezydent II RP został wybrany głosami lewicy i mniejszości narodowych. Zbitka ta, używana już wtedy i dziś przez środowiska endeckie i nacjonalistyczno-prawicowe, to typowa retoryka polityczna mająca wywołać określone skojarzenia. W rzeczywistości to teza mocno naciągana.

Podczas wyborów prezydenta, których dokonywał wówczas parlament, szybko odpadli kandydaci wystawieni właśnie przez kluby lewicy oraz mniejszości narodowych – Ignacy Daszyński oraz Jan Baudouin de Courtenay. Na placu boju pozostali kandydaci: PSL „Piast” Stanisław Wojciechowski (w owym czasie bliski centrum i chadecji, ale mający wieloletni staż radykalny i lewicowy, w „podziemnej” PPS i oficjalnym, dość wyraziście lewicowo zorientowanym ruchu spółdzielczości spożywców Społem w Królestwie Polskim), endecji i pomniejszych stronnictw prawicowych Maurycy Zamoyski (posiadacz wielkiego majątku ziemskiego, sygnatariusz wiernopoddańczej deklaracji pod adresem wodza naczelnego wojsk rosyjskich z sierpnia 1914 roku) oraz Narutowicz, będący formalnym kandydatem PSL „Wyzwolenie”.

Jakkolwiek „Wyzwolenie” było dość radykalną partią lewicy ludowej, to Narutowicz miał niewiele wspólnego z tą partią i jej programem. Został jej kandydatem właściwie przypadkiem, niejako po to, żeby ugrupowanie miało swoją kandydaturę inną niż centroprawicowi ludowcy z „Piasta”. Narutowicz zgodził się na kandydowanie po początkowych odmowach i długich namowach, do kandydowania zniechęcał go także Piłsudski, który stawiał na Wojciechowskiego. Namówił Narutowicza do kandydowania inteligencki radykał i jeden z liderów „Wyzwolenia”, Stanisław Thugutt. Polityk ten w swojej autobiografii wspominał, że „był on tu [w „Wyzwoleniu”] prawie całkowicie nieznany i było dowodem wielkiego zaufania do swojego przewodniczącego, że Klub zgodził się na wystawienie tej kandydatury”.

W kolejnej rundzie głosy PPS-owców padły głównie na Wojciechowskiego. Natomiast przedstawiciele mniejszości narodowych oddali głosy częściowo na Narutowicza, a częściowo na Wojciechowskiego. Do tury ostatniej przeszli Narutowicz i Zamoyski. O tym, kto został prezydentem, zdecydowały nie głosy lewicy i mniejszości narodowych, lecz głosy centroprawicowego PSL „Piast”. Oczywiście lewicowcy i mniejszości głosowali na Narutowicza, bo trudno od socjalistów i środowisk mniejszościowych oczekiwać, aby popierali wielkiego posiadacza ziemskiego i nacjonalistę. Jak ironicznie pisał Adam Próchnik, działacz PPS i historyk: „Głównym argumentem, który rzucono na szalę agitacji ulicznej, był protest przeciw temu, że o wyniku głosowania zdecydowały mniejszości narodowe. Z Narutowicza zrobiono elekta żydowskiego. Wynikało z tego, że obowiązkiem stronnictw lewicowych i centrowych było głosowanie na kandydata prawicowego, aby tylko nie głosować razem z mniejszościami narodowymi”.

W kontrze do wywodów nacjonalistycznej prawicy warto przywołać fragment wspomnień Thugutta, dotyczący postawy parlamentarnych reprezentantów mniejszości żydowskiej: „obiecano w zasadzie głosować za naszym kandydatem, pod warunkiem jednak złożenia zadowolającej deklaracji w sprawie żydowskiej. Odmówiłem temu stanowczo, twierdząc, że nasza przeszłość i nasze wielokrotnie już zajęte stanowisko muszą być dostateczną rękojmią szanowania praw, przyznanych im przez Konstytucję”.

Główną siłą, która przeważała szalę na korzyść Narutowicza, byli „piastowcy”. Nie pozostawiono im zbyt wielkiego wyboru ani politycznego, ani moralnego, ani wizerunkowego. Jakkolwiek była to

chłopska partia o umiarkowanym obliczu, to jednak trudno oczekiwać, że jej parlamentarzyści mieliby poprzeć i zdecydować o wyborze na tak ważne stanowisko jednego z największych posiadaczy ziemskich. Tym bardziej w czasach, gdy większość społeczeństwa stanowili chłopci, w większości bezrolni, małorolni czy w najlepszym razie z gospodarstw niedużych, a na porządku dziennym były dyskusje i projekty dotyczące reformy rolnej. „Piastowcy” ani nie mieli wiele wspólnych interesów z Zamoyskim i środowiskami stojącymi za nim, ani też nie zamierzali popełniać wizerunkowo-politycznego samobójstwa, jakim w oczach wielu milionów mieszkańców wsi byłoby poparcie właśnie takiego kandydata.

W efekcie Narutowicz został wybrany prezydentem ze sporą przewagą nad Zamoyskim, a rozstrzygające w tej kwestii były głosy centroprawicowych ludowców. Którzy zresztą zdecydowali się poprzeć Narutowicza po poważnych wahaniach, a prawica niemal do końca była przekonana, że głosy parlamentarzystów „Piasta” otrzyma Zamoyski. Zaledwie pół roku po zamordowaniu Narutowicza endecy i inne ugrupowania katolicko-prawicowe zawarły z „piastowcami” pakt lanckoroński, a następnie wszystkie te formacje utworzyły pierwszy rząd tzw. Chjenopiasta, z liderem „Piasta” Witosem jako premierem oraz kilkoma ministrami endeckimi.

Śmierć prezydenta i wnioski z niej

Śmierć Narutowicza z ręki narodowca Niewiadomskiego była dla lewicy gorzką lekcją. Dobitnym dowodem na to, że proces dziejowy może zostać powstrzymany, a nawet odwrócony. Lewica polska, szczególnie miejsko-robotnicza, żyła dotychczas w przekonaniu dość naiwnym, ale

zarazem opartym na obserwacji biegu wydarzeń, a mówiącym o stałym postępie polityczno-demokratyczno-cywilizacyjnym. Liderami lewicowych ugrupowań byli wówczas czy to ludzie, którzy wielokrotnie przebywali na Zachodzie (nierzadko jako zbiegowie polityczni), czy tacy, którzy działali w stosunkowo liberalnym zaborze austriackim, czy ci, którzy wykrwawiali się w „podziemnej” robocie partyjnej zaboru rosyjskiego. Wszyscy oni widzieli i przeżyli zmiany na lepsze: w dziedzinie praw pracowniczych i regulacji ochronnych w przemyśle, demokratyzacji i swobód politycznych, liberalizacji sfer wolności słowa i przekonań, rozwoju społeczeństwa obywatelskiego itp.

Nawet Wielka Wojna, która kazała lewicowcom świata zachodniego zwątpić w ciągły postęp, dla Polaków miała wymiar nieco inny. Mimo cierpień ludzkich i zniszczeń materialnych oznaczała w tym miejscu świata zrzucenie zaborczych kajdan, ufundowanie państwa nie tylko niepodległego, ale i demokratycznego oraz o nowoczesno-postępowym ustawodawstwie i nienajgorszej jak na tyle lat opresji kulturze politycznej. Jednak również na Zachodzie pokłosem I wojny było zwycięstwo demokracji nad autokracjami i zacofanymi politycznie reżimami, co napawało optymizmem. Szybko jednak okazało się, że całociowy postęp nie jest czymś danym raz na zawsze. Dobitnym znakiem, że tak nie jest, stały się narodziny faszyzmu.

Abstrahuję w tym miejscu od rozważań o jego naturze i o tym, na ile była to polityczna reakcja, a na ile hybryda „tradycji” i „nowoczesności” czy próba restytucji „tradycyjnych wartości” w realiach społeczeństwa nowoczesnego, masowego, rozwiniętego technologicznie i mającego za sobą wojenną „totalną mobilizację”. Dość powiedzieć, że system ten i towarzysząca mu ideologia sytuowały się na antypodach lewicowości z socjalno-demokratycznego i reformistycznego w realiach zachodniego

*Główny nurt polskiej lewicy
oraz zachodniej lewicy
socjaldemokratycznej stawiał
z przekonaniem na
demokrację parlamentarną,
swobody polityczne,
społeczeństwo obywatelskie*

(czy próbującego
naśladować drogę
zachodnią)
społeczeństwa
mieszczańsko-
kapitalistycznego.
Główny nurt polskiej
lewicy oraz
zachodniej lewicy

socjaldemokratycznej stawiał z przekonaniem na demokrację parlamentarną, swobody polityczne, społeczeństwo obywatelskie. Jeśli nurt ten bez wahania krytykował i odrzucał nieco bliższe mu przecież na gruncie fundamentów ideowych i relacji partyjno-personalnych realia reżimu sowieckiego, to tym bardziej odrzucać musiał także faszyzm i wszelkie autorytaryzmy mniej lub bardziej prawicowe.

Zamach na Narutowicza był, po triumfie faszyzmu włoskiego, mocnym ostrzeżeniem dla takiej lewicy. Zapowiedzią, że mogą powrócić stare czasy autorytaryzmu, przemocy politycznej i ograniczania swobód obywatelskich. W Polsce nie było to ostrzeżenie pierwsze. Wspomniany Thugutt, czyli pomysłodawca kandydatury Narutowicza na urząd prezydenta, miał już do czynienia z prawicową przemocą polityczną. W początkach stycznia 1919 roku, gdy władzę sprawował lewicowy rząd Jędrzeja Moraczewskiego, miał miejsce tzw. zamach Januszajtisa. Prawicowo-nacjonalistyczny pułkownik we współpracy z konserwatywnym księciem Eustachym Sapiehą dokonał próby puczu. Choć sama akcja miała przebieg raczej operetkowy, to w jej trakcie dokonano m.in. próby uwięzienia Piłsudskiego, aresztowano premiera Moraczewskiego i kilku ministrów, a Thugutt, wówczas minister spraw

wewnętrznych, został napadnięty w swoim mieszkaniu i oddano do niego – niecelne – strzały z ostrej broni. Zamach na prezydenta Narutowicza przywołał tamte wydarzenia i przypomniał, że to nie wyjątek, lecz zapowiedź możliwej reguły.

Dobrze oddawał ton tych przemyśleń napisany już po zabójstwie Narutowicza tekst Bronisława Siwika – działacza PPS, zesłańca syberyjskiego, bardzo ciekawego, a dziś niestety zapomnianego myśliciela łączącego socjalizm z mistycyzmem i głęboką duchowością. Pisał on w „Robotniku”: „Raną najboleśniejszą i najniebezpieczniejszą Polski wyzwolonej jest »państwo anonimowe«, które rości sobie do niej niezaspokojone pretensje. Państwo to nie uznaje ani narodu, ani ciał ustawodawczych, ani Konstytucji, ani rządu w Polsce, słowem, nie uznaje Rzeczypospolitej. Polska – to my! – twierdzi »państwo anonimowe«. Wszystko, co nie jest nami, co nie z nas jest, nie nam służy, nie jest ani narodowe, ani polskie. »Państwo anonimowe« nienawidzi Polski wyzwolonej i szkodzi jej wszystkimi dostępnymi środkami [...]. Jest to zjawisko potworne i groźne. A jest ono tym potworniejsze i groźniejsze, że państwo to anonimowe składa się z Polaków. Państwo to jest zjawiskiem nienormalnym, chorobowym. Zrodził je nacjonalizm, przeszczepiony na naszą glebę, a wyhodowała niewola. Imię mu – narodowa demokracja. Najniższy »stupajka« carski, najprostsz y żandarm pruski – były to osoby bardziej wzbudzające szacunek w duszy narodowego demokraty, niż dziś najwyżsi dostojnicy polscy. Przejrzyjcie stare gazety narodowo-demokratyczne [...] Czy znajdziecie w starych rocznikach choć błąd cień tego aroganckiego, nieubłaganego stosunku do drobnych kacyków carskich, jaki dziś dźwięczy stale od lat 4 w stosunku do władz polskich, potulnych względem narodowej demokracji? [...] Stąd – zamachy, stąd – spiski, stąd czyny Kainowe, stąd i pierwszy »bohater« narodowo-demokratyczny, Eligiusz Niewiadomski”.

Narodowa antydemokracja

Zanim doszło do zbrodniczego czynu Niewiadomskiego, miała miejsce kampania medialnego szczucia oraz ulicznych starć mających na celu powstrzymanie przez sympatyków endecji dopełnienia formalności związanych z przekazaniem władzy pierwszemu prezydentowi RP. Towarzyszyły temu niedwuznaczne żądania „zaprowadzenia porządku” w sposób bojówkarsko-wojskowy, a na porządku dziennym były wśród przeciwników Narutowicza odwołania do realiów Włoch, w których przejęcie władzy przez faszystów miało miejsce zaledwie kilka tygodni wcześniej.

Znany działacz PPS Herman Lieberman wspominał: „Kto patrzył własnymi oczyma na objawy tej akcji nienawiści i szowinizmu przelewające się przez ulice Warszawy, ten dziś trudno może rozumieć, jak ludzie inteligentni doprowadzić mogli tłum uliczny do tego rodzaju psychozy, w której zatraciły się wszelkie uczucia ludzkie i wszelki instynkt moralny. Propaganda nienawiści przeciw wybranemu prezydentowi, jako elektowi »Żydów i Ukraińców«, szalała przez kilka dni w formie najbardziej namiętnej i ohydnej”. I dodawał nieco dalej: „Demonstrujący studenci rzucali grudy śniegu w Narutowicza, a kilka z tych grudek trafiło w jego twarz. Kiedy nazajutrz znalazłem się u fryzjera w Alejach Ujazdowskich – kilku tam obecnych panów z »lepszego« towarzystwa, którzy byli świadkami ohydneho znieważenia Narutowicza, opowiadało sobie szczegóły tej dzikiej sceny. Śmiejąc się serdecznie z pomysłów endeckiej młodzieży, zabawiali się opisem ruchów i gestów prezydenta, który ręką zasłaniał się przed pociskami. Górne warstwy społeczne Warszawy, popierające Narodową

Demokrację, nie ukrywały wtedy swojego zachwyty dla barbarzyństwa i niegodziwości popełnionej na majestacie Rzeczypospolitej i na honorze państwa polskiego”.

Thugutt wspominał atmosferę i wydarzenia z 11 grudnia 1922 roku, czyli dnia zaprzysiężenia Gabriela Narutowicza: „około dziesiątej rozeszły się wieści, że wyloty ulic prowadzących do Sejmu zatarasowały tłumy, przepuszczające tylko ludzi z prawicy, a zatrzymujące uczestników Zgromadzenia z lewicy, jeżeli chcieli przedostać się mimo to w głąb ul. Wiejskiej. [...] Wzmogło podniecenie przybycie do gmachu sejmowego senatora Kowalskiego, Żyda, z twarzą oblaną krwią, a równocześnie wiadomość, że Limanowskiego i Daszyńskiego tłum wepchnął do bramy jednego z domów przy Nowym Świecie i nie pozwala im stamtąd wyjść”. Poseł PPS Zygmunt Piotrowski został pobity do nieprzytomności. Endecy dokonali napadu na redakcję „Robotnika” i siedzibę stołecznych władz PPS. Gdy z odsieczą przybyła grupa robotników-socjalistów, została ostrzelana przez nacjonalistycznych demonstrantów: zabity został lewicowy robotnik Jan Kałuszewski, a rany odniósł poseł i działacz PPS Tadeusz Hołówko.

Wniosek nagły Związku Parlamentarnego Polskich Socjalistów i PSL „Wyzwolenie” głosił: „Przebieg rozruchów, które miały miejsce w Stolicy w dniu zaprzysiężenia Prezydenta Rzeczypospolitej, dowiódł ponad wszelką oczywistość, że obóz stronnictw prawicowych był ich inicjatorem, kierując się z góry powziętym postanowieniem pogwałcenia Konstytucji i obalenia praworządności w państwie”.

Lewica odpowiedziała wezwaniem do strajku generalnego, który odbył się następnego dnia w Warszawie. Stała praca we wszystkich większych fabrykach oraz instytucjach użyteczności publicznej, a towarzyszyło temu siedem wieców PPS w całym mieście. W dzienniku „Robotnik” pisano: „Zorganizowany lud pracujący na faszizm narodowej demokracji odpowiada hasłem samoobrony robotniczej. W imię Niepodległej Polski Ludowej, w imię demokracji i jej praw, wystąpi do walki z gwałtem faszystowskim”.

W obliczu mordu

Adam Próchnik, działacz PPS i historyk, pisał już po dokonanym morderstwie: „Czyn Niewiadomskiego nie przyniósł jeszcze otrzeźwienia. Zaczął się kult mordercy. Urządzano manifestacyjne nabożeństwa za jego duszę, na grobie jego składano kwiaty”. Posner dodawał: „Zamordował niktzemnik, co z tyłu strzelił, co, korzystając z dobrej wiary, ze szlachetności przeciwnika, czai się jak zbir i zza pleców ministra bije w pierwszego obywatela Rzeczypospolitej. Chełpili się dawniej w tym kraju konserwatywni i katoliccy dziejopisarze, że w Polsce królobójców nie było; że to rosyjski tylko wynalazek, że to wynalazek chłopca moskiewskiego, skutego w kajdanach niewoli wielowiekowej. Ale w Polsce odrodzonej reakcja zamordowała republikańskiego prezydenta”.

Tomasz Nocznicki, nestor ruchu ludowego w Królestwie Polskim, działacz „Wyzwolenia” i lider wiejskiego ruchu antyalkoholowego, komentował: „Kiedy przedtem, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu, ludzie ginęli za Polskę, kiedy ginęli ludzie tej miary, co młodzieniaszek

*Zanim doszło do zbrodniczego
czynu Niewiadomskiego,
miała miejsce kampania
medialnego szczucia oraz
ulicznych starć*

co do ciała, ale mąż
wielki co do ducha,
Stefan Okrzeja, który
zginął na stokach
cytadeli z okrzykiem:
»Niech żyje
niepodległa Polska«,
to do tej pory nie jest
uczczony grób jego

i nikt nie znalazł się, kto by napisał na jego grobie »bohater narodowy«. Kiedy przedtem jeszcze ginął na szubienicy moskiewskiej inny bohater proletariatu, Józef Mirecki, również z takim samym okrzykiem: »Niech żyje niepodległa Polska«, którego mowa była oskarżeniem dla najeźdźców, a chwałą i gloryfikacją dla Polski, to o nim się nie mówi, nie stawia się pomników i nie pisze się, że tam leżą w prochach wielcy mężowie polscy. A taki właśnie zaszczyt spotkał pierwszego w Polsce politycznego mordercę”.

Przeciw wojnie domowej

Zupełnie inne były zachowania lewicy. Jak wspominał Adam Pragier, działacz i poseł PPS, lider socjalistów Ignacy Daszyński proponował nawet próbę nakłonienia prezydenta Wojciechowskiego do wydania aktu łaski i odstąpienia od wykonania wyroku śmierci na Niewiadomskim, co miałoby powstrzymać narastające ryzyko wojny domowej (ale także przeszkodzić prawicy nacjonalistycznej w wykreowaniu zabójcy na męczennika). Liderzy lewicy, w tym Daszyński, ale także blisko związany z Piłsudskim były premier Moraczewski, nie

poparli również pomysłu akcji odwetowej, w której miała miejsca nastąpić eliminacja części liderów nacjonalistycznej prawicy. Pomysł taki zrodził się w kręgach piłsudczykowskich.

Uspokajano także nastroje wśród warszawskich robotników i związkowców, którzy chcieli odpowiedzieć siłowo na uliczne poczynania prawicy. Również Thugutt wspomina, że mitygował chłopów z Mazowsza, którzy w liczbie kilkuset przybyli bez zapowiedzi do stolicy z zamiarem odwetu za zamordowanie prezydenta. W Krakowie spontanicznie zebrany tłum lewicowych robotników groził śmiercią liderom endecji i dopiero przybycie posłów i znanych działaczy PPS uspokoiło nastroje.

Odezwa centralnych władz PPS z 17 grudnia 1922 głosiła: „Rozumiemy i odczuwamy Wasze podniecenie i Wasze oburzenie domagające się natychmiastowej odpłaty, ale nie chcemy ani odruchów zemsty, ani anarchii. Chcemy ratować Państwo!”. Tomasz Arciszewski, legendarny bojowiec PPS, wygłosił przemówienie na posiedzeniu Rady Naczelnej PPS, w którym postawił tezę, że lewica powinna być gotowa dać odpór nacjonalistom, ale zarazem powinna robić to metodami legalnymi, a odrzucić spiski, zamachy i przemoc uliczną.

Tomasz Nocznicki przemawiał w sejmie: „Bardzo często powtarza się ten argument w prasie prawicowej, że Konstytucja jest rzeczą świętą, że Konstytucja jest matką prawa polskiego i że Konstytucję należy szanować. Jestem razem z Panami akurat tego samego zdania, nigdy nie pozwoliłbym myśleć sobie czego innego. Uważam, że Konstytucję szanować należy, bo jeżeli będziemy ją łamali, jeżeli ją przewrócimy, to wkroczymy na drogę anarchii, na drogę nieporządku, gwałtów, które się

bardzo źle skończyć mogą. Ale, proszę Obywateli Szanownych, właśnie tu, z prawej strony Izby, gdzie żeście Panowie byli 11 grudnia, kiedy nie uznaliście Konstytucji i kiedy święciliście nieobecnością w czasie zaprzysiężenia pierwszego Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej? To był, proszę Panów, wyłom w prawie polskim, to było usuwanie kamienia węgielnego z fundamentu polskiej Konstytucji, polskiego prawa”.

Ignacy Daszyński, niekwestionowany lider polskich socjalistów, pisał w „Robotniku”: „Politycy narodowo-demokratyczni dają się prowadzić na pasku kilkuset odprawionych po wojnie i niezadowolonych wojskowych, którzy obiecują cuda, byle im dano tyle a tyle granatów ręcznych, tyle a tyle browningów czy karabinów. Przecież nikt nie może być tak ślepy, żeby nie rozważył, że w armiach podczas sześciu lat wojny służyło około dwóch milionów żołnierzy z chłopów i robotników polskich, którzy także umieją obchodzić się z bronią i z granatami ręcznymi. W biednej, wycieńczonej Polsce rozum stanu kazałby, żeby browning i karabin zamienić po wojnie co rychlej na młot i kielnię czy pług i bronę, a sprzeczność interesów i poglądów wyrównywać kartką wyborczą lub pracą ducha. Tymczasem doprowadzono do tego, że profesor-endeck chwyta za browning, a robotnik hamuje odruch gniewu i pogłębia swoją organizację społeczną przy pomocy wysiłku duchowego”.

Warto zwrócić uwagę na te słowa i cały opisany ciąg wydarzeń, bo prawica nacjonalistyczna lubi się stroić w szatki odpowiedzialności i rozsądku, a lewicę oskarża o zapędy destrukcyjne.

Niebezbronni

Jednocześnie centralny organ PPS, dziennik „Robotnik”, deklarował, że lewica „na żadne faszystowskie zamachy w Polsce nie pozwoli”. W wielu miastach odbywały się wiece z żądaniem ostrej reakcji władz publicznych i resortów siłowych wobec medialnego szczucia nacjonalistów oraz ich poczynań ulicznych.

Odezwa władz PPS w Zagłębiu Dąbrowskim ostrzegła, że jeśli instytucje zawiodą, wówczas robotnicy „sami zaczną być sędziami”. W Kielcach odezwę kilkunastu organizacji lewicowych, związków zawodowych, ugrupowań chłopskich (w tym „Piasta”) i Narodowej Partii Robotniczej, przyjął wielki wiec. Rada Naczelna PPS zajęła stanowisko, wedle którego w obliczu zagrożenia prawicowym przewrotem należy unikać przemocy, ale sięgnąć po sprawdzoną broń robotniczą: „Na wypadek poważniejszej akcji bojowej czy zamachowej polskiej czarnej sotni wzywamy organizacje w całym kraju, aby były gotowe do przeprowadzenia strajku powszechnego”. Czytamy tam także: „Nie szukamy zemsty partyjnej, wstrętem przejmuje nas ohydy zgiełk swarów partyjnych, wśród których zginąć mogą rzeczy wielkie, bo wolność i niepodległość narodu całego. Nie chcemy przelewu krwi, nie chcemy zamętu, nie chcemy ruiny ludu i państwa, czym grozi ciągle szaleńczy spisek czarnej sotni. Ale znamy olbrzymie znaczenie naszej liczby i naszej pracy! W decydującej dla państwa chwili rzucimy na szalę wypadków to olbrzymie znaczenie”.

W roku 1973 w Londynie, przebywając tam od dekad na wymuszonej emigracji politycznej, działacz PPS i historyk polskiej lewicy Adam Ciołkosz pisał: „Zamordowanie Prezydenta Narutowicza przez nacjonalistę polskiego za to i dlatego, że został na ten najwyższy urząd wybrany głosami także mniejszości narodowych, położyło się ponurym cieniem na całym polskim międzywojennym dwudziestoleciu. Będziemy bronili słusznych i nigdy nie przedawnionych praw Polski do wolności i do niepodległego bytu, lecz biały sztandar nacjonalizmu nie jest nam do tego potrzebny. Wystarczy sztandar biało-czerwony”.

Remigiusz Okraska

*Foto: Szkic rekonstruujący przebieg zamachu na prezydenta
Narutowicza - Ilustracja Polska*